

# KRZYSZTOF KOCHAŃSKI

## Centuriańskie bomby

Kiedy na Słupsk spadły bomby Centurian, Fiszer jechał tramwajem numer 5. Tramwaj właśnie ruszał z przystanku.

Fiszer nie musiał korzystać z publicznych środków transportu – stać go było na taksówkę albo na wynajęcie samochodu z kierowcą. Ale wtedy życie przyśpieszało. Czas połykał sekundy, połykał sam siebie, niczym chiński wąż.

Był jak te bomby, które wysyłali Centurianie. Sam moment wybuchu umknął uwadze pasażerów tramwaju. Głuche stęknienia, jakie towarzyszyły każdej eksplozji, zlały się z szumem miasta i dopiero bezpośrednio po fakcie, gdy w jednej chwili zgasł wielkomięski hałas, Fiszer zdał sobie sprawę, że jednak je słyszał. Trzy pyknięcia, podobne do tych, jakie wydaje ostrożnie wyjmowany z butelki szampana korek. A potem cisza. Niezwykła, przyprowadzająca o lęk, klaustrofobiczna cisza.

Trzy pyknięcia – trzy bomby. W promieniu kilku kilometrów Fiszer był jedynym człowiekiem, który mógł sobie przypomnieć ten moment. Inni umarli w tej jednej koszarnej chwili, gdy korek szampana wyskoczył z butelki.

Ruszający tramwaj potoczył się jeszcze siłą bezwładu kilkanaście centymetrów, po czym stanął, ponieważ prawa fizyki Centurian pokonały prawa fizyki Newtona, zgodnie z którymi na Ziemi poruszały się nie tylko tramwaje, ale i wszelkie inne pojazdy. Prawa Obcej Nauki pokonały również prawo zachowania masy, a także kilka innych praw, uważanych przez człowieka za niepodważalne.

Zdezorientowany Fiszer stał przy przednich drzwiach wagonu, kurczowo zaciskając dłoń na rurze z polimerowego tworzywa. W pewnej chwili puściły metalowe wiązania i Fiszer został z rurą w ręce, ale wtedy nie kojarzył jeszcze, że stal bardziej podatna jest na wpływ czasu niż plastik. W ogóle niewiele kojarzył, oślepiałym wzrokiem wpatrując się w martwych ludzi. Siedzieli sztywno w tramwajowych fotelikach, jak manekiny. Jakaś kobieta leżała w przejściu, na wznak, z zadartą sukienką odsłaniającą seksowne stringi. Wyglądali nieładnie, wszyscy byli jacyś... chudzi. Skóra na ich twarzach marszczyła się, policzki drgały, zapadały się, jakby coś wciągało je do wnętrza czaszki. Oczy wysychały, pozostawiając wielkie puste dziury.

Czas, zdał sobie sprawę Fiszer, wciąga je Czas.

Dlaczego nie mnie? – pomyślał z niewiarygodnym, nieadekwatnym do sytuacji spokojem.

Nie mnie?

Dopiero teraz dopadło go przerażenie.

Starzeli się na jego oczach, gnili, wysychali, rozpadali. Ich ubrania stały się nagle obszernymi futerałami, żółknącymi, pogniecionymi szmatami.

Szussss!

Osunęło się pierwsze ludzkie truchło, potem następne. Te, które utrzymały się na siedzeniach, co jakiś czas nieznacznie zmieniały pozycje, co sprawiało przerażające wrażenie, jakby zmieniały się w żywe zombie. Wyschnięte na wiór ciało zaczęło odchodzić od kości, osypywać się całymi płatami, odsłaniając nagie czaszki.

Stringi leżącej kobiety w najmniejszym stopniu nie wyglądały już seksownie, zwisając na upstrzonej plamami miednicy, pośród cieniutkich piszczeli.

Fiszer, zlany potem, zamknął oczy, próbując w ten najprostszy sposób odciąć się od koszmaru. Bał się. Był tak przerażony, że z trudem oddychał, łapał powietrze nieregularnie, jak wyrzucona na brzeg ryba. Nie był w stanie się poruszyć; zresztą nawet nie próbował, intuicyjnie wyczuwając, że miejsce, w którym stoi, to miejsce *lucky mana*, farciarza wygrywającego na loterii nie do wygrania. Rozpadał się nie tylko tramwaj, rozpadał się cały świat wokół, a on tkwił w środku, niczym w oku cyklonu. Za nic, za nic w świecie nie opuściłby tego miejsca.

Zatrzaśnięte powieki, drzwi bankowego sejfów, odgradzały go od makabrycznej rzeczywistości, ale to nie wystarczało. Coś zaczęło dziać się z tramwajem – trzeszczał, chrobotał, jakby pożerały go jakieś metalożerne korniki. Nagle coś pękło, posypało się szkło. Fiszer nie chciał tego słuchać. Przykucnął, skulił się jak przerażone burzą dziecko, zatkał uszy palcami.

Nieoczekiwanie wagon zatrząsł się, co miało tę dobrą stronę, że wytrąciło mężczyznę z apatii. Gwałtownie otworzył oczy. Miał je zamknięte kilkadziesiąt sekund, może minutę, ale to, co zobaczył, wyglądało, jakby minęło z tysiąc lat. Pasażerowie stali się zakutymi w szmaty stertami kości, tak nierealnymi, nieczłowieczymi, iż przestały budzić metafizyczny lęk. Tramwaj rdzewiał, po farbie nie pozostało śladu; sparciałe uszczelki nie trzymały już szyb, z których większość powypadała.

Z głośnym trzaskiem pękło coś w podwoziu, blaszana konstrukcja zatrząsa się po raz drugi, ludzkie kości zagrały upiorny, perkusyjny rytm. Kość strzałkowa kobiety w stringach potoczyła się w stronę Fiszera, zatrzymała przy nosku buta. Mężczyzna poderwał się, kopnął piszczel ze wstrętem, odruchowo, nim zdał sobie sprawę, co robi.

Zorientował się, że wciąż trzyma w ręku plastikowy uchwyt. Panicznym ruchem, jakby to była tamta kość, wyrzucił go przez otwór po drzwiach, które wypadły na zewnątrz. Rurka raz tylko odbiła się od chodnika, potem ugrzęzła w betonowym pyłe. Pobliski krawężnik rozpadł się na kilka części.

Być może zafunkcjonowała zasada jakiegoś apokaliptycznego domina, bo przewrócił się znak drogowy, a zaraz potem ze ściany budynku księgarni odpadł zardzewiały blaszany prostokąt, który jeszcze kilka minut temu informował, iż ulica nosi nazwę Nowobramska.

Fiszera wiedział co nieco o centuriańskich bombach. Te, które dziś wybuchły, nie były pierwszymi, jakie dotarły do Ziemi. Od kilku tygodni, od pierwszego ataku, multimedia właściwie zajmowały się wyłącznie tym tematem. Trzydzieści sześć – taką liczbę podawano wczoraj. Plus trzy dzisiejsze, przeliczył Fiszera, to już trzydzieści dziewięć. O ile te trzy to wszystko na dziś. Będąc odcięty od świata, nie mógł tego wiedzieć. Równie dobrze życie na Ziemi mogło przestać istnieć, a on jest ostatnim *homo sapiens*. Ale nie przypuszczał. Dotychczasowy przebieg wydarzeń pozwalał mieć nadzieję, że Centurianie gorzko jeszcze pożałują chwili, gdy podjęli decyzję o ataku. Bo choć początkowo obca technologia wydawała się odległa o całą przepaść, to stopień jej zrozumienia postępował zadziwiająco szybko. Decydującym momentem okazał się fakt, iż szósta bomba Obcych była niewybuchem. Co prawda tylko przez godzinę – dopóki ekipa saperów i naukowców nie zagalopowała się w badaniach – na szczęście dane, jakie zebrali do momentu eksplozji, wystarczyły na skonstruowanie wabików ściągających pociski w głąbinę oceanów lub pustynne obszary kontynentów. Przejęcie następnych niewybuchów, a było ich jeszcze dwa, podobno bardzo posunęły naprzód dalsze badania, choć ich wyników nie podano do publicznej wiadomości ze względów bezpieczeństwa. Ale i tak duży współczynnik zawodności bomb wzbudzał optymizm, pozwalała wątpić w potęgę technologii Centurian.

Fiszera ogarnął wzrokiem krajobraz za drzwiami tramwaju. Jego własny optymizm zmniejszył się znacznie. Właściwie całkowicie wyparował. Jak widać, wabiki nie do końca okazały się skuteczne. Albo Centurianie dokonali stosownych korekt.

Umarłe miasto. Trup. Wrak.

Budynki wciąż wyglądały solidnie pomimo odrapanych, sypiących się elewacji i zapadłych gdzieś dachów. Ale nie wiedział, czy to aby nie pozory. Czy nie rozpadną się jak domki z kart przy silniejszym podmuchu wiatru? A nawet jeśli nie teraz, to może za chwilę, przecież wciąż się starzeją! Wszystko się starzeje, poza tym niezwykłym miejscem w wagonie, w którym nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności udało mu się znaleźć.

Oko cyklonu!

Fiszera spojrzął pod nogi. Stał na kawałku ocalałego gumoleum. Podniósł głowę – nad sobą miał fragment blaszanego sufitu połyskującego czystością beżowej farby, poza nim przez przerdwiające dziury przewierały promienie słońca.

Jedno go zastanowiło: jak na oko cyklonu przystało, spodziewał się czegoś w rodzaju okręgu, może elipsy, tymczasem oba pola, to na suficie i na podłodze, miały kształt trójkąta równobocznego, o lekko zakrzywionych bokach, przy czym wszystkie trzy krzywizny były identyczne. Nie tkwił zatem w walcu, lecz raczej w szczelinie, co jednak w niczym nie zmieniało faktu, iż nie docierało tu niszczące promieniowanie centuriańskich bomb.

Nie zamierzał się stąd ruszać, dopóki nie nadejdzie pomoc. W końcu musi pojawić się jakaś ekipa ratownicza. Oczekają, aż promieniowanie osłabnie, i przyjdą. Wierzył w to. Nic innego mu zresztą nie pozostało.

– Chcę pić!

Nieśmiała prośba zabrzmiała jak wystrzał. Serce podskoczyło do gardła wystraszonego Fiszera.

– Kto tu?! – wrzasnął, nim zdołał pomyśleć, że ma halucynacje. Coś zaszeleściło za przepierzeniem motorniczego i zapadła cisza.

Czyżby przeżył również motorniczy?

Podekscytowany Fiszera omal nie sięgnął do klamki; powstrzymał się w ostatniej chwili, uświadomiwszy sobie, że przepierzenie znajduje się poza bezpiecznym polem. Ale tam może być inne bezpieczne pole, jak najbardziej, skoro koncepcja oka cyklonu upadła...?

– Panie motorniczy? – zagaił ostrożnie.

Brak odpowiedzi.

– Kto tam jest? – spytał głośniej.

– Barnaba Chrum – usłyszał po dłuższej chwili nieśmiały, schrypnięty głosik.

Barnaba Chrum! Oszalałem, pomyślał załamany Fiszer, wcale nie jestem bezpieczny. Chrum!

Promieniowanie uszkodziło mój mózg!

– Masz pić? – odezwał się głosik.

Fiszer spojrział machinalnie na swoją teczkę, a raczej na to, co z niej zostało, gdy sztuczna skóra zmieniła się w pogięte czarne paski. Nie pamiętał, w którym momencie teczka wypadła mu z ręki, w trakcie czy już po wybuchu, ale leżała poza polem, więc i tak nie miało to żadnego znaczenia. Nawet jeśli przez przypadek wziął z sobą coś do picia, pewnie zamieniło się w gnój.

Szaleństwo szaleństwem, ale halucynacja uświadomiła Fiszerowi, że choć ocalał z prawdziwej apokalipsy, jego sytuacja nie przedstawia się różowo. Ruszyć się może najwyżej o krok, nie ma jedzenia ani – przede wszystkim – nic do picia. Na razie nie odczuwał jeszcze pragnienia, lecz majaki związane z takim akurat problemem nie wzięły się znikąd!

– Nie mam pić – szepnął, nieświadomie dostosowując się do kaleczonej gramatyki głosowej projekcji.

Jak dotąd sądził, że ma nadzwyczajne szczęście. I tak niewątpliwie było, ale jeśli pomoc nie przyjdzie w porę, nic mu po tym. Zaciskając szczęki, popatrzył po szczątkach pasażerów. Oni przynajmniej nie wiedzieli, że umierają. Nawet tego nie zauważyli.

– Cholera!

Poczuł, że drętwią mu nogi, więc podskoczył kilka razy, a potem przykucnął gwałtownie, aż strzeliło w stawie kolanowym.

Wtedy otworzyły się drzwi kabiny kierowcy. Truchło motorniczego leżało na kierownicy; rękawy, z których wypadły kości ręki, powiewały w przeciagu, ale nie na to patrzył Fiszer.

Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w małe czerwonawe oczka prosiaka. Prosiak miał na szyi grubą, nieco przydużą skórzaną obrozę z licznymi metalowymi wstawkami. Chrum! Właściwie od razu powinien się domyślić!

Prosiak w obroży nie był niczym niezwykłym. Ładne kilkanaście lat temu zdołano przeprowadzić serię eksperymentów genetycznych na świninach, w których rezultacie znacznie zwiększono inteligencję tych zwierząt. Skutkiem ubocznym okazał się zanik hormonów przyrostu komórek, dlatego nawet dorosłe osobniki wyglądały jak oseski. Wciąż trwały prace nad uzyskaniem podobnych efektów – niekoniecznie wiążących się z miniaturyzacją rozmiarów – u zwierząt wyższych, przede wszystkim goryli i szympansów, jak dotychczas jednak bez wyraźnych efektów. Tymczasem, kiedy okazało się, że zmutowane świnie-prosiaki z łatwością uczą się podstawowych słów i są zdolne do prowadzenia konwersacji, zwierzęta te stały się istnym przebojem. Dzieci nie chciały już mieć psów, kotów czy chomików, których geny nie poddawały się manipulacjom w sposób satysfakcjonujący. Dzieci chciały mieć prosiaki. Towarzyszy, z którymi można pobawić się w prawdziwą szkołę, z którymi można pośmiać się i nie tylko do nich przytulić, ale i pogadać nocą, kiedy rodzice wychodzą i zostaje się samemu w domu.

Dlatego Fiszerowi ulżyło, kiedy zobaczył, z kim ma do czynienia. Z drugiej jednak strony nie potrafił zrozumieć, jakim cudem zwierzę zdołało przeżyć?

– Chodź tu szybko! – zawołał przytomnie. Bez względu na wyjaśnienie zagadki lepiej było, żeby nieoczekiwany towarzysz niedoli schronił się w bezpieczne, wolne od temporalnych pływów miejsce.

Prosiak zadreptał skwapliwie, stukając raciczkami o podłogę. Gdy dopadł Fiszera, wtulił się pomiędzy jego kolana. Cały drżał.

– Barnaba Chrum się boi. Bardzo – zakomunikował.

– Nie bój się, mój mały – powiedział Fiszer. – Wyjdziemy z tego.

Nieoczekiwanie poczuł się pewniej. Wygasł strach, że zginie tu marnie z głodu i pragnienia lub pokonany bombą Centurian. optymizm powrócił. Tego mu było trzeba, towarzysza, choćby takiego jak Barnaba.

– Pokaż no mi się. – Wziął prosiaka na ręce. Z uśmiechem odsunął twarz, gdy ten usiłował dotknąć go okrągłym jak moneta ryjkiem. – Wiem, dlaczego ja żyję – rzekł. – Ale dlaczego żyjesz ty?

Obejrzał go dokładnie. Nie dostrzegł niczego, co mogłoby sugerować jakiegokolwiek symptomy starzenia, choć prawa tylna raciczka wydawała się cokolwiek zdeformowana.

– Nie wiem – odpowiedział prosiaczek, zapytany o ten defekt. – Zawsze tak.

Jakim cudem centuriańskie pole rażenia nie miało na niego wpływu? Zagadka. Może wiązało się to z modyfikacją genów, wpadło Fiszerowi do głowy, zaraz jednak stwierdził, że to mało prawdopodobne. Już dawno by o tym wiedziano, skoro bomby spadały nie od dziś, a nie było ważniejszej kwestii niż poszukiwanie sposobów ochrony przed skutkami wybuchów.

Zatem co? Coś musiało być! Coś, co neutralizowało temporalną kieszeń. Prosiaczek nie miał nic, poza... obrożą. Fiszerowi aż zapało dech, kiedy o tym pomyślał. Czyżby to było takie proste?

Skórzaną obrożę pokrywały ozdobne nity. Niektóre wyglądały na stalowe, niektóre na miedziane, taka mozaika o różnych kształtach. Nie znał się na tym, ale pamiętał mgliście, że metale w odpowiednich środowiskach wytwarzają pola. Magnetyczne, a może jeszcze jakieś? I odwrotnie: pola wzbudzają w metalach prądy. Czy coś takiego mogłoby neutralizować centuriański atak?

To dopiero byłoby odkrycie!

Fiszer ostrożnie postawił prosiaczka na podłodze, u swoich stóp. Zmrużył oczy i zamyślił się. O ile wcześniejsze lęki, depresje i nadzieje były jego osobistymi dramatami, z którymi mógł sobie poradzić albo nie, wszak w grę wchodziło tylko jego własne życie, teraz sprawy przybrały znacznie poważniejszy obrót. Musiał przeżyć nie tylko w zgodzie z imperatywem nazywanym instynktem samozachowawczym, nie tylko dla siebie, ale po to, żeby przekazać wiadomość innym. Jeśli faktycznie udałooby się znaleźć sposób na przeżycie po wybuchu bomby, Centurianie byliby załatwieni!

A więc obroza. To chyba najważniejszy ślad. Ale spokojnie, Fiszer sam siebie postawił do pionu, spokojnie, nie wolno niczego przeoczyć. Wcale nie jest powiedziane, że to właściwy trop. Albo że jedyny. Decydować mogły także inne, niewykluczone, że powiązane ze sobą czynniki.

– Dlaczego wcześniej się nie odzywałeś? – spytał Barnabę.

– Spałem.

Spał! Fiszer pokręcił z niedowierzaniem głową. Przespał apokalipsę?! To też trzeba zapamiętać, liczy się każdy szczegół.

– Chcę pić! – przypomniał prosiak.

– Nie mam nic do picia, Barnaba. Będzie z tym kiepsko, z żarciem również. Musisz to zrozumieć.

– Barnaba rozumieć – zgodził się pokornie prosiak.

– Gdzie spałeś. W którym miejscu? – podjął Fiszer.

– Pod siedzeniem wujka.

– Wujka?

– Nie mój. Ale wujek. Tako rzecze Robert.

Wszystko stało się jasne: Barnaba należał do jakiegoś dzieciaka imieniem Robert, a motorniczy był jego wujem.

Fiszer powiódł smętnym wzrokiem po wnętrzu tramwaju, który stał się teraz jakąś starożytną grobową kryptą. Poszukiwał dziecięcych szkieletów.

– Czy Robert tu jest? – odważył się zapytać.

– Nie. Wypoczynek. Wczasy. A Barnaba Chrum nie zostawać sam. Nigdy sam. Przenigdy...

– Rozumiem – zastopował prosiaka. – Teraz też nie jesteś sam. W porządku?

– W porządku.

Wujek motorniczy siedział na przeplatanej koralikami derce. Kierowcy często stosowali podobne nakrycia siedzeń; koraliki masowały mięśnie, co pozwalało przetrwać długotrwałą jazdę. Prosiak spał bezpośrednio pod siedzeniem, więc może nie obroza, ale nakrycie osłoniło go przed bombą?

Zapadał zmrok. Fiszer czuł się nie najlepiej. Był bardzo zmęczony, jakby cały dzień spędził na pracy fizycznej. Zdrętwiały mu mięśnie, przede wszystkim łydki. Nie czuł głodu, ale gardło miał suche jak pieprz. Zaczynało boleć przy przetykaniu śliny. Usiadł z podkulonymi pod brodę kolanami, bacząc, żeby zmieścić się we wkleśniętym trójkącie podłogi, niczym na miniaturowej wyspie oblewanej ze wszystkich stron kwaśnym oceanem. Ochłodziło się, ale przytulony Barnaba Chrum grzał jak kaloryfer. Nie zamierzał spać, nie chcąc przeoczyć ewentualnej ekipy ratowniczej, niestety, okazało się to ponad jego siły.

\*\*\*

Obudził go chłód. Świtało. Zerwał się na równe nogi, przestraszony tym, że zasnął, że może przewrócił się we śnie, wystawił rękę lub nogę poza bezpieczny obszar. Na szczęście nie wyglądało na to, żeby coś takiego miało miejsce – wciąż miał trzydzieści cztery lata.

Barnaba! Gdzie on jest?!

Prosiak buszował po tramwaju, przetrząsał sparciałą walizkę, należąca prawdopodobnie do kobiety, której stringi paradoksalnie zachowały biały kolor.

– Chodź tu w tej chwili!

Barnaba wyłonił się ze szmat, otrząsnął jak pies. W pyszczku trzymał szklaną butelkę z przezroczystym płynem.

– Nie wolno ci tam chodzić! – Fiszer był naprawdę rozeźlony. – Nie wolno! Chcesz skończyć jak oni?

Prosiak przytruchtał, przebijając śmiesznie krótkimi nóżkami, który to widok odprężył Fiszera. Jaki okres zaniku ma degradacja czasowa spowodowana bombą Centurian, zastanawiał się. Może ja też mogę wyjść? Zdał sobie sprawę, że bierne czekanie na pomoc może okazać się poważnym błędem. Ryzykuje, że zginie tu bez szansy przekazania informacji, która być może zadecyduje o wyniku wojny. Zresztą jak ekipa ratunkowa ma zauważyć go w zamkniętej tramwajowej puszcze, która w dodatku pewnie i tak zaraz się rozleci!?

Jak na potwierdzenie coś zaskrzypiało w konstrukcji. Z głuchym stęknieniem ostatnia szyba wypadła na zewnątrz.

Degradacja temporalna. Fiszer zmarszczył brwi. Usiłował przypomnieć sobie, co wie na ten temat. Pierwszą bombę Centurianie zrzucili jakieś pięć tygodni temu i tamten rejon jest już odbudowywany. Kilka innych również. Promieniowanie zanika, ale po jakim czasie? Na pewno nie w ciągu jednej doby, nie ma się co łudzić, może jednak słabnie na tyle, że człowiek zdąży się przedostać? Zwłaszcza jeśli ma się przy sobie prosiaczka i jego obrozę?

Spojrzał na Barnabę, wpatrującego się w niego małymi oczami, okolonymi delikatnymi blond rzęsami. W pysku prosiak wciąż trzymał butelkę.

– Pokaż!

Pozółkła etykieta nie dawała się odczytać, lecz zawartość wyglądała na niegazowaną wodę. Czy kilkusetletnia woda (ile mogła mieć lat, dwieście, pięćset, tysiąc?) nadaje się do picia? Spróbował zdjąć nakrętkę, która rozpadła mu się w palcach. Po dłoni pociekł płyn. Polizał ostrożnie, jakby miał do czynienia z trucizną. Nie czuł smaku, pewnie przez brak śliny w wysuszonych ustach, ale dłużej nie potrafił się powstrzymać; nie miał pojęcia, że jedna doba bez wody może tak wykończyć człowieka. Łapczywie pociągnął kilka głębokich łyków. Odstawił butelkę dopiero przynaglany popiskiwaniem towarzysza. Nalał wody do zwiniętej w miseczkę dłoni, w której natychmiast wyładował łapczywy, wysuszony ryjek. Nalał po raz drugi.

– Oszczędzać – prosiaczek zaskoczył go inteligencją.

– Nie musimy – rzekł. – Zaraz ruszamy w drogę.

Jednak zeszło im jeszcze trochę, bo choć woda z prosiakowej butelki nie okazała się śmiertelną trucizną, to obaj rzygali po niej jak koty.

\*\*\*

Tachiony przemieszczają się w superstrunowej pianie. Jakiś wektor ma przeciwny kierunek, przypomniał sobie Fiszer wypowiedź któregoś naukowca. Ciekawe, czy facet w ogóle wiedział, o czym mówi? Może tak. Fiszer rozumiał, jaka przepaść dzieli umysły żyjących obok siebie ludzi. Einstein i fryzjer, który go strzygł, wyglądali tak samo. Wszelkie procesy chemiczne i elektryczne w ich organizmach przebiegały identycznie. A jednak dzieliła ich przepaść, nie będąca zasługą ani winą żadnego z nich.

Nieznana była głębokość innej przepaści, tej dzielącej najlepsze współczesne umysły od Centurian, ale Fiszer wierzył, że nie jest to przepaść bez dna. Bez tej wiary wciąż siedziałby w tramwaju i czekał na pomoc.

Szedł środkiem głównej ulicy, lawirując pomiędzy wrakami samochodów, z upiornymi szoferami za kierownicą. Prawie nie było stłuczek; samochody stały tak, jak dopadła je eksplozja bomby, zatrzymane w filmowym kadrze. Kierowca półciężarówki marki „LUBLIN” wciąż trzymał w kościotrupiej ręce telefon komórkowy, przystawiony do kości skroniowej.

Fiszer wolał iść ulicą, bo ilość zwłok na chodnikach była przerażająca. Nie było sposobu, żeby nie deptać po szczątkach. Poza tym ulica okazała się trwalsza, chodniki kruszyły się, zamieniały w cementowy pył, wzbijający się z każdym krokiem, łatwo się było potknąć. Asfalt natomiast, choć śmierdział paloną smołą, kruszył się bezpyłowo i nie chwiało pod stopami.

W ramionach trzymał Barnabę, który nie miał nic przeciwko temu, aby być niesionym, zamiast męczyć się w narastającym upale. Fiszer dotykał brodą wybijanej ćwiekami obroży, co dodawało mu otuchy. Wierzył w jej moc. Jak miał nie wierzyć, kiedy szedł już blisko kwadrans i nawet niespecjalnie się zmęczył?

Obroża obrożą, ale po tylu godzinach oddziaływanie temporalne mogło być nikłe – może przyjmował niewielką tylko dawkę, która kumuluje się niezauważalnie i wszystko wyjdzie za jakiś czas? Fiszer pogodził się nawet z perspektywą własnej śmierci, byle to wszystko wreszcie się skończyło, byle dotrzeć do granicy tej strefy śmierci. Pomimo upału niósł na plecach rozpostartą koralikową derkę ściągniętą z siedzenia motorniczego. Prosiaczek aż zakwiczał, jakby dostał kopniaka, gdy Fiszer bezceremonialnie zrzucił truchło kierowcy na podłogę.

Każdy szczegół może mieć znaczenie. Tak sobie założył i tego się trzymał.

W początkowych minutach po wyjściu z tramwaju serce Fiszera waliło jak dzwon. Bał się; niemal czuł, jak ściera mu się skóra na twarzy, wypadają włosy. Koszmar. Ale w miarę upływu czasu strach rejterował, wypierany optymizmem. Nadzieją, że wszystko się uda.

Kiedy dotarł na peryferie miasta, do dzielnicy domków, działek z zadbanymi niegdyś trawnikami – teraz świeącymi gołą, wyschniętą ziemią bez śladu jednego choćby krzaka lub drzewa – nieoczekiwanie poczuł się źle. Ni stąd, ni zowąd był bardzo zmęczony. Sądząc po pozycji słońca, jak i trasie, którą pokonał, nie minęło wiele czasu, najwyżej pół godziny. Skąd takie przemęczenie?

Strach nie uciekł daleko. On tylko się przyczaił. Dzwon w piersiach Fiszera znów się odezwał.

– Jak się czujesz, Barnaba? – ledwie wydobywał słowa ze ściśniętego gardła.

– Barnabie gorąco.

Upał! Fiszer odetchnął. Odprężył się. To po prostu tylko upał... Faktycznie, było gorąco pomimo rannej pory. Nic dziwnego, że był osłabiony, zważywszy na dokuczliwy brak wody.

– Mądry zwierzak. – Spojrzał na prosiaka z wdzięcznością.

– Barnaba Chrum mądry – rzekł z dumą Barnaba, choć pewnie nie zrozumiał, o co chodzi.

Fiszer spojrział w górę. Słońce miało dziwaczną barwę. Słomkową. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przybierało taki kolor. *Tachiony w superstrunowej pianie*, czymkolwiek były, niewątpliwie miały w tym swój udział.

– Pięć minut w cieniu – zdecydował. Chciał nabrać pewności, co się z nim dzieje.

Najbliższym cieniem była zachodnia ściana małego domku, którego dach całkiem wpadł do środka, skutkiem czego szczyty murów przypominały miniaturowy średniowieczny zamek stojący w ruinie od stuleci. Dotarcie do niego przez żeliwny płot, walący się po pierwszym dotknięciu, nie stanowiło problemu. Przez chwilę Fiszer poczuł się jak Godzilla w Tokio.

W cieniu było znacznie chłodniej; zadziwiająco chłodno, jakby nagle znaleźli się w klimatyzowanym pomieszczeniu, co potwierdzało hipotezę o wpływie pola temporalnego na promieniowanie słoneczne. Z drugiej jednak strony potwierdzało również, że takowe pole wciąż istnieje.

Fiszer zdjął z pleców koralikową derkę, rzucił na piaszczystą ziemię i siadł wygodnie, podpierając się plecami o ścianę. Prosiak usiłował się wyrwać, twierdząc, że w domu znajdzie coś do picia, ale Fiszer trzymał go mocno.

– Już raz piłeś – przypomniał. – Mało ci rzygania? Musisz wytrzymać. To nie potrwa długo, myślę, że jeszcze jakieś pięć, sześć kilometrów i wydostaniemy się.

Dopiero teraz spostrzegł ludzki szkielet spoczywający na rozwalonym leżaku. Należał do kobiety, sądząc po staniku na pałkowatych żebrach. Fakt, iż wcześniej nie zwrócił na niego uwagi, świadczył wymownie, jak szybko powszednie człowiekowi widok, który wcześniej uznałby za koszmar. Obok kobiety leżały szczątki prosiaka, który w chwili zero pewnie wygrzewał się na słońcu ze swoją panią. Obroża, którą nosił, była skórzana. Bez metalowych ćwieków.

– Człowiek – powiedział prosiak.

– Tak – potwierdził Fiszer, nie odrywając wzroku od szkieletów. – I jego pies.

Nie chciał przstraszyć Barnaby. Zresztą może to rzeczywiście był pies?

– Idzie – kontynuował prosiak.

Zaskoczony Fiszer odwrócił wzrok. Szosą szedł człowiek. Zataczał się, z trudem omijając przewrócony rower z małym, zakutym w kask i ochraniacze truchłem.

Fiszer poderwał się podekscytowany.

– Proszę pana!

Nieznajomy przystanął. Zachwiał się. Wydawało się, że zaraz się przewróci, lecz jakoś zdołał utrzymać równowagę.

Patrzył na nich, jakby zobaczył duchy, choć to raczej on tak wyglądał. Był niewiarygodnie zaniedbany. Wokół plackowatej łysiny wisały długie do ramion, przetłuszczone włosy koloru cementu. Taka sama broda, postrzępiona, jakby powyrywał ją sobie garściami. Coś mówił, ale tak cicho, że Fiszer raczej domyślał się, że to słowa, a nie bezsensowne mamrotanie. Wymachiwał przy tym rękami z energią przeczącą ogólnemu wrażeniu wyczerpania.

Fiszer przełożył prosiaczka pod pachę i ruszył w stronę mężczyzny. Kiedy mijał płot, zatrzymał się speszony badawczym spojrzeniem szalonych oczu.

– Kim pan jest? – zapytał, całkiem już pozbawiony początkowej nadziei, że ma do czynienia z kimś z ekipy ratowniczej, która wreszcie mogła wyruszyć, bo zniknęło promieniowanie.

– Moja dziewczyna – szeptał nieznajomy, ignorując pytanie. Spoglądał na Fiszera pełnymi wigoru niebieskimi oczami; młodymi, zupełnie niepasującymi do pomarszczonej twarzy, żółtej jak wosk, upstrzonej brązowymi plamami. – Nie widział pan mojej... dziewczyny? Jest tu... gdzieś... – Wykręcił głowę, może spodziewając się, że zaraz ją zobaczy. – Mieliśmy się spotkać.

Nie precyzował, kogo nazywa swoją dziewczyną. Wnuczkę, córkę? A może naprawdę chodzi o dziewczynę, zdał sobie sprawę Fiszer, czując, jak ogarnia go chłód, mimo iż znów stał w spiekocie słomkowego słońca, ten człowiek przecież...

Zbliżał się ostrożnie, coraz szerzej otwierając oczy, bo zaczynał pojmować, co takiego się dzieje.

– Ile masz lat? – Wolną ręką chwycił kościste ramię, spojrzął w błękitne oczy.

– ...aście.

– Boże! Chodź w cień. W cień! – Szarpnął za drżącą dłoń, suchą i chłodną, jakby już należała do nieboszczyka. Nieznajomy opierał się, próbował wyrwać, ale spokorniał, gdy Fiszer wzmocnił uścisk, pociągnął na siłę.

– Beata... Mieliśmy się spotkać...

– Nie tutaj – przerwał mu Fiszer. – Tutaj nikogo nie ma.

Kiedy posadził marudzącego mężczyznę (chłopca?) pod ścianą zrujnowanego niby-zamku, Barnaba wyrwał mu się spod ramienia. Spadł niefortunnie na ryjek i kwiknąwszy przeraźliwie, przewrócił się. Fiszer wyciągnął rękę, żeby go schwytać, zahaczył palcami o obrożę, ale prosiak błyskawicznie się pozbierał, w jakimś amoku zadrobił nóżkami i już był na wolności. W palcach Fiszera została tylko rozerwana przy sprzączce obroza.

– Barnaba, chodź tu!

Z podwiniętymi uszami prosiak cwałował ku drzwiom budynku, zostawiając za sobą tuman kurzu.

– Barnaba pić! – zawołał.

– Wracaj! W tej chwili wracaj!

Prosiak udawał, że nie słyszy, z pewnością udawał, nie sposób było nie słyszeć Fiszera, który darł się, jakby obdzierano go ze skóry. W istocie o własną skórę wrzeszczał.

– Czy to Matrioszka? – spytał nieznajomy trzeźwym nagle głosem. Najwyraźniej przestraszony, wodził oczami za uciekającym zwierzakiem znikającym w otworze po drzwiach.

– Co? – Fiszer zastygł z otwartymi ustami. W pół ruchu, by bieć za Barnabą. – Co?! – powtórzył, czując nagłą pustkę w piersiach, jakby zatrzymało się serce, pustkę w głowie, jakby zamknęły się wszystkie synapsy.

Nieznajomy skulił się, choć nie był niczemu winien.

Fiszer nie mówił nic więcej. Wystarczyło tamto jedno słowo. Matrioszka. I w jednej nanosekundzie przeniecały się wszelkie nadzieje. Wiedział, że usłyszał prawdę.

W porannej gazecie, tej wczorajszej, był artykuł. Fiszer czytał tę gazetę, czytał ją w tamtym tramwaju, nim wstał, żeby zająć miejsce przy wyjściu, bo następny przystanek był tym, na którym miał wysiąść.

Matrioszka – kłuł w oczy tytuł na pierwszej stronie.

Przecież czytał ten artykuł uważnie! Naprawdę uważnie! Teraz pamiętał każdy akapit, ale wcześniej...? Jak mógł zapomnieć o czymś tak ważnym?!

Zapomniał.

I ktoś taki chciał uratować świat?!

Pewnie dlatego, że tam było o myszy. Nie o prosiaku, ale o myszy! Zabrakło skojarzenia. Prostej jak drut interpolacji do większego rozmiaru!

Dziennikarz donosił o najnowszej generacji centuriańskich bomb. Doszedł nowy element. Matrioszka, jak powiedział ktoś mimochodem, i nazwę podchwyciono. Perfidia Centurian polegała na tym, że nowa bomba działała zupełnie tak samo jak poprzednie. Pozornie nic się nie zmieniło. Poza jednym drobnym szczegółem: w tej nowej bombie Centurianie przemycali drugą, mniejszą, która nie wybuchała od razu. Podstęp polegał na tym, że bomba z opóźnionym zapłonem potrafiła się przemieszczać i że w ogóle na bombę nie wyglądała. Wyglądała jak zwykła polna mysz. W wierzchniej warstwie, pod skórą, miała nawet ciecz ludoząco podobną do prawdziwej krwi.

Przed skutkami wybuchu pierwszej bomby chroniły ją prawa fizyki ujarzmione przez Centurian – fałszywa mysz znajdowała się w centrum eksplozji, gdzie równoważyły się natężenia temporalnego pola.

Zdruzgotany Fiszer wreszcie złapał w płuca powietrze.

Oko cyklonu! Sam środeczek! Wszystko się zgadza, niestety!

Opadł na ziemię obok mężczyzny. Z wnętrza domu dobiegały hałasy.

– Zależy mu na wodzie – rzekł drewnianym głosem. – To pewnie jego paliwo. Musi mieć jakiś wodorowy napęd.

Przez jakiś czas milczeli, wsłuchując się w odgłosy zza ściany. Czasami cichły (złowrogo, skonstatował Fiszer, każda cisza brzmi teraz złowrogo!), po czym znów przybierały na sile. Matrioszka wciąż nie znajdowała wody. Może nie znajdzie i padnie, nim zdoła dostać się w zamieszkałe rejony? Może. Ale Fiszer sam w to nie wierzył, ku własnej rozpaczycy uzmysłowivszy sobie, że przecież naiwnie niósł sukinkota na rękach, nieświadomie oszczędzając jego energetyczne zapasy. Cóż za ironia losu!

– Jak masz na imię? – spytał.

– Hubert, proszę pana.

Nieco dziwnie to brzmiało, gdy dwa razy starszy mężczyzna mówił do niego „proszę pana”, podczas gdy on do niego na „ty”, ale nie czas było przejmować się takim drobiazgiem.

– Co teraz zrobimy? – spytał szeptem Hubert. Z jego oczu wyparowały opętańcze błyski, z głosu zniknął marazm, jakby kilka chwil wcześniej zupełnie kto inny bredził o jakiejś Beatrycze. Czy to uzdrowił go chłód cienia, czy też nowe wyzwanie...?

Fiszer zerkał z ukosa.

– Co zrobimy?

Już w pytaniu tkwił plan.

– Załatwimy skubańca – zgodził się. Również zniżył głos do szeptu.

– Ale jak?

– Prosiaka się zarzyna, czyż nie? – Hubert wymownie ciachnął ręką przez gardło. – I po krzyku!

– Wybuchnie. Myślisz, że Centurianie to idioci? Jak tylko zaczniemy majstrować, wybuchnie jak nic – rzekł Fiszer.

W jego głosie brzmiała rezygnacja. Miał być bohaterem, człowiekiem, któremu – kto wie – wystawią kiedyś pomnik! Cóż za dziecinada?! Centurianie z pewnością nie są idiotami, ale on tak – znów przypomniał sobie, jak troskliwie opiekował się bombą.

– Wiesz co...? – Fiszer wyprostował się, wziął większy oddech.

Nie powiedziane, że kłamka zapadła. Pewnie, że lepiej być żywym bohaterem. Ale bohater to bohater. Nawet jeśli nikt nie postawi mu pomnika.

– Zdetonujemy tę bombę, póki jest tutaj, gdzie i tak wszystko stracone – podjął decyzję.

Wstał, odwracając się w stronę wejścia do budynku.

– Nie...! – zaprzeczył ku jego zdumieniu Hubert. – Nie my – kontynuował, nim Fiszer zdążył się odezwać.

– Ja to zrobię, pan niech ucieka, może jeszcze pan zdąży. Proszę popatrzeć. – Wyciągnął przed siebie kościste ręce, jakby powykręcane reumatyzmem. Obleczone skórą piszczele. – I tak już po mnie. Czuję się, jakbym miał sto lat, i pewnie niedużo mi do nich brakuje...

– Ale...

– Po co mamy ginąć obaj? Do granicy strefy jest może kwadrans, jeśli będzie pan biegł szybko, może jeszcze krócej. Wiem, bo dopiero co stamtąd przyszedłem... Tak ją kochałem – roztkliwił się nagle, jakby w jego głowie działał jakiś schizofreniczny przełącznik. – Tak kochałem, to był mój pomysł z tą randką tutaj, spóźniłem się, zasnęłam, uwierzy pan? Zasnęłam w środku dnia i nie zdążyłem być razem z nią... Nie chcieli mnie przepuścić, cały kordon wojska, ale co tam, śmignąłem im, tyle mnie widzieli...

– Uspokój się. – Fiszer położył dłoń na ramieniu mężczyzny. – Teraz to już nieważne. Nie cierpiała, jeśli chcesz wiedzieć, nikt nie cierpiał. Nie mieli pojęcia, że cokolwiek się wydarzyło.

Chciał pomóc Hubertowi wstać, ale ten zaprotestował. Sam sobie poradził, pragnąc zapewne pokazać, że nie takiemu zadaniu sprosta.

– Niech pan ucieka – ponaglił. – Bo nie wystarczy czasu. Mojego i pańskiego.

Trudno było zaprzeczyć. Poznali się przed kilkunastoma minutami i jeśli wtedy, pomijając obszarpane ubranie, mężczyzna wyglądał na lat czterdzieści, to teraz miał sześćdziesiąt, jak nic.

– Jak chcesz to zrobić?

– Mój ojciec jest myśliwym, mam na imię Hubert, łapie pan? – zachichotał, jakby było w tym cokolwiek śmiesznego. – Nieraz oporządzałem dzika, to myśli pan, że z takim maleństwem... Do cholery, chyba znajde w kuchni jakiś przerdzewiały nóż? – Ruszył naprzód, ku drzwiom, śladami prosiaczkowych raciczek. – Proszę się nie martwić, poradzę sobie.

– Nazywa siebie Barnabą Chrum – dogonił go Fiszer, nie chcąc mówić za głośno. – Zgrywa ufego, najlepiej zwab go wodą, jeśli znajdziesz. Nie zdradz się, że wiesz.

– Jeśli teraz nie odejdziesz, to już nie będziesz miał po co! – rzekł z gniewem Hubert, wymownie chwytając Fiszera za długie włosy, których końcówki wyraźnie posiwiały. Wyrosły nie wiedzieć kiedy, Fiszer przysięgłby, że jeszcze przed chwilą...

– Puszczaj!

Puścił.

Z domu wciąż dochodziły hałasy; zwały się jakieś meble, a może i cała ściana. Centuriańska bomba uparcie szukała paliwa.

– Pora – powiedział młody starzec i odwrócił się tyłem. Bez słowa pożegnania wszedł do domu.

Także i Fiszer nie czekał dłużej. Wyszedł z chłodnego cienia na podjazd, w skwar jak na patelni. W dłoni wciąż trzymał rozerwaną obrożę prosiaka. Wziął zamach, żeby rzucić ją jak najdalej, ale w ostatniej chwili rozmyślił się. Gdyby człowiek trzymał przy sobie świadectwa własnej głupoty, może mniej popełniałby błędów?

Spojrzał w dół ulicy. Piętnaście minut, powiedział Hubert. Albo mniej, jeśli będziesz wystarczająco szybki. Pobiegnął.



O ile w pierwszych sekundach jeszcze się wahał, chwilę później pędził na granicy utraty tchu. Nie tylko biegł po życie. Również uciekał.

\*\*\*

Wojskowy kordon. Ciężarówka, transportery opancerzone, czerwone wozy gaśnicze, nawet jakiś czołg. Dzielił go od nich niewiarygodnie długi dystans nagiej, wypalanej ziemi, a na wprost, jak strzelił, ciemna wstęga zrujnowanej szosy, niczym bieżnia dla spóźnionego maratończyka. Byli i kibice – żołnierze zbiegali się ku mecie, słyszał ich krzyki, wyciągnięte w dopingu ręce. Z węża zdjętego ze strażackiego wozu lał się pienisty płyn, już ciągnęli drugi wąż, trzeci, jakby to nie człowiek do nich mknął, lecz dymiący po kolizji bolid Formuły 1.

Nie miał sił biec dalej.

Nie dam rady, ledwie o tym pomyślał, zaplątały mu się nogi. Upadł.

– Ile ma pan lat?

Otworzył oczy.

– Trzydzieści cztery – powiedział, nim zogniskowały się źrenice i zobaczył, że blondwłosa pielęgniarka jest bardzo ładna, choć jej makijaż przesadnie wyzywający. Po grubym, śmierdzącym potem wojskowym lekarzu była to miła odmiana.

– No to nieźle się panu udało. Cud jakiś! – Wdzięcznym ruchem wyciągnęła spod pachy lustro, widać przygotowała się wcześniej. – O ile mi wiadomo, pole temporalne wciąż wykazuje aktywność.

– Gotowy? – spytała, trzymając lustro niczym magik mający za chwilę puścić żywego zajączka.

Czy był gotów? Sądził, że tak, ale powieki same zamknęły się, jakby podświadomie pragnął jednak odwlec tę chwilę.

Uniósł okrwawioną głowę; przy upadku zranił sobie twarz. Nie miał siły biec, a żołnierze krzatali się w oddali, wzdłuż granicy strefy, nerwowi niczym mrówki przy rozbitym gnieździe. Podniósł się na czworakach, próbował stanąć, ale znów omal się przewrócił, więc dał sobie spokój, szedł dalej w tej zwierzęcej pozycji i nagle ogarnął go irracjonalny strach, że wezmą go za Matrioszkę, wypalą zaraz z działa i zdetonują! Podziałało o tyle, że jednak wstał; usiłował zawołać przez ściśnięte gardło, udowodnić, że jest człowiekiem z krwi i kości, ale na próbach się skończyło. Spadła na niego ciemność, nagle, jakby ktoś znieacka założył mu na głowę worek. Próbował otworzyć szerzej oczy, by pokonać ten mrok, wyrwać się – nie miał wątpliwości – śmierci spod kosy.

Pielęgniarka patrzyła z cierpliwym uśmiechem.

– Poda mi pan rękę, to coś panu powiem.

Podał natychmiast, jak pies wykonujący polecenie.

– Specjalnie przysłał mi pan – powiedziała. – Właśnie mnie – podkreśliła, akcentując samogłoskę pierwszego wyrazu. – Mam trzymać pana za rękę, kiedy będzie pan patrzył w to lustro. Bliskość pięknej kobiety złagodzi szok – kontynuowała bez żenady, jakby nie o sobie mówiła. – Tak wychodzi z pańskiego portretu psychologicznego: pańska próżność, instynktowna chęć zaimponowania partnerce, nie dopuści do panicznych reakcji.

Fiszera uśmiechnął się. Nie przypuszczał, żeby mówiła prawdę, ale była miła. No i chyba osiągnęła swój cel, rzeczywiście poczuł się lepiej. Swobodniej.

Odwróciła lustro.

W pierwszej chwili zobaczył niewiele, jakby spoglądał przez rozregulowaną lornetkę. Z oddali dobiegały wołania żołnierzy. To na niego wołali, przyzywali do siebie, i te krzyki – z braku ostrości widzenia – stały się jego drogowskazem. Włókł się w ich stronę, zataczał, a kiedy upadł, pełzł, wściekły nagle, że nikt nie ma odwagi mu pomóc, poświęcić ułamek życia (ile raptem, dzień, dwa?) i po prostu go stąd wyciągnąć. A przecież on dla nich chciał zrobić tak wiele, nie pamiętał już co, plątały mu się myśli, ale chyba zasługiwał na to, żeby...

– Nic pan nie mówi? – zaciekała się pielęgniarka. Wciąż ścisnęła jego rękę.

– Dlaczego mnie ogoliliście? – spytał.

– Nie ogoliliśmy. Włosy same wypadły.

– Tak wszystkie?

– No właśnie. – Chyba nie za bardzo wiedziała, co mówić; może wciąż czekała na bardziej zdecydowaną reakcję pacjenta. – Na pociechę dodam, że pańskie EEG jest bez zarzutu. Mamy już kilku takich, którym udało się przeżyć, z krawędzi eksplozji, ale pan jest pierwszym, który ma poprawne EEG.

Wzruszył ramionami.

– Pana biologiczny wiek wynosi teraz czterdzieści osiem lat – sprecyzowała, patrząc na Fiszera jakoś dziwnie, badawczo, aż zorientował się, że jego spokój brany jest za jakąś autystyczną rezygnację, apatię, może nawet psychiczną zapaść.

Wyciągnął dłoń spod jej dłoni.

– Proszę pani – rzekł z wyrzutem – widziałem ludzi, którzy umarli ze starości, nim zdążyłem mrugnąć powieką. Widziałem nastolatka, który w niewiele ponad kwadrans stał się starcem. Cóż mogę powiedzieć...?

Zerknął w lustro.

– Czternaście lat – mruknął. – Mogło być gorzej, nie?

– Mogło być gorzej – powiedział młodziutki żołnierz, którego twarzy Fiszer nie mógł zobaczyć, gdyż oczy łączyły mu jak po jakimś gazie. – Halo! Słyszysz mnie pan? Niech pan się trzyma! Karetka już podjeżdża!

– Jak udało mu się przeżyć? – pytał ktoś inny.

– Cud jakiś.

– Nie strasz, cholera. Nie wiesz, że cudów nie da się wyjaśnić?

– Panowie, co on trzyma w rękę?

\*\*\*

– Jest dziennikarką – powiedziała pielęgniarka. – Ale, jak wspomniałam, nie sędzę, żeby sprowadzały ją wyłącznie względy zawodowe. Nie przyszła sama.

Fiszer skinął głową.

– Wolałbym jednak, żeby rozmowa miała charakter osobisty. – Wymownie zerknął na drzwi.

– Oczywiście.

Dlaczego zgodził się na to spotkanie? Wyrzuty sumienia? Tylko je rozjątrzył...

– Bardzo przepraszam – zaczęła kobieta. – Może nie powinniśmy pana niepokoić, tyle pan przeszedł. Ale ten reportaż o pańskim cudownym ocaleniu... Widziałam go w telewizji i...

Jak na dziennikarkę była zdumiewająco zażenowana.

– To już się wyjaśniło – rzekł Fiszer, z chęcią podejmując temat oddalający od przykrego meritum. – Żaden cud. Sądziłem, że znalazłem się w centrum eksplozji, a tymczasem było wręcz przeciwnie. Stałem na skraju. Wybuchły trzy bomby, ich kołowe pola rażenia częściowo nałożyły się na siebie, ale w geometrycznym środku pozostała niewielka przestrzeń poza zasięgiem każdej z nich. Rozumie pani, jeśli w każdym z wierzchołków trójkąta równobocznego narysujemy okręgi o odpowiednim promieniu...

– Tak, wiem – przerwała mu nieśmiało. – To wszystko tłumaczyli w telewizji, ale sam fakt, że znalazł się pan akurat...

– Przypadek. Miałem szczęście... – zająknął się.

Za dużo gadał.

– O co konkretnie chodzi? – zapytał.

Kłamał. Dobrze wiedział, o co im chodzi. Jej i chłopcu imieniem Robert, który stał w milczeniu, przestępując z nogi na nogę, podczas gdy matka wyłuszczyła problem. Chłopiec miał sześć, najwyżej siedem lat.

Skądś dowiedzieli się, że cudownie ocalały facet wyniósł ze strefy obrozę. Kobieta pewnie zrozumie, ale jak to wszystko wyjaśnić dzieciakowi?

Parszywa sytuacja.

„Nie wiem, o czym pan mówi”, zdziwił się przestuchujący Fiszera żołnierz w stopniu majora. „Przechwyciliśmy wszystkie trzy Matrioszki. To nadal są myszy”.

Naprawdę parszywa.